

## **Początki „Obozu” i Studium Europy Wschodniej UW**

**Jan Malicki, dyrektor Studium Europy Wschodniej Uniwersytetu  
Warszawskiego, w rozmowie z Bogdanem Borowikiem**

### **Jaka była geneza czasopisma „Obóz”?**

Najpierw zaczynajmy od pewnego sprostowania. W różnych publikacjach i na stronach internetowych dodaje mi się więcej zasług, niż w istocie mam. Mianowicie nie byłem założycielem czasopisma „Obóz”, między innymi dlatego, że byłem wówczas za młody, chociaż właściwie cała redakcja była młoda. Zostałem zaproszony do redakcji w kwietniu lub maju 1981 r., kiedy już myślano nad koncepcją pisma. Za założyciela „Obozu” należy uznać Jerzego Targalskiego. Ewentualnie jako współzałożyciela pisma można wskazać także Andrzeja Ananicza. Jerzy Targalski, kilka lat starszy ode mnie, był wówczas asystentem w Instytucie Historycznym UW, gdzie jeszcze wówczas studiowałem. Zajmował się historią starożytną, ale to nie przeszkadzało mu zajmować się także komunizmem, a najwięcej walką z nim. Andrzej Ananicz także był wykładowcą akademickim, ale na Wydziale Polonistyki, w Katedrze Lingwistyki, a ponieważ ukończył także iranistykę, miał również zajęcia na iranistyce i turkologii, w Instytucie Orientalistycznym.

W 1981 r. miałem 23 lata i byłem studentem, jak wspominałem wcześniej, zostałem wówczas doproszony do redakcji „Obozu”. W zespole redakcyjnym poza Targalskim i Ananiczem było już kilka innych osób, np. Kazimierz Stembrowicz, który był wówczas doktorantem, chyba u prof. Andrzeja Poppe, na historii. Potem w ciągu kilku miesięcy 1981 r. dołączyli Marek Pernal i Wojtek Maziarski. Jerzy Targalski postanowił przyporządkować nas pod względem odpowiedzialności za przygotowywane materiały, geograficznie. Marek Pernal był specjalistą od Czechosłowacji; Wojtek Maziarski, który studiował hungarystkę, odpowiadał za sprawy węgierskie, Andrzej Ananicz odpowiadał za problematykę sowiecką, za Azję Środkową i świat muzułmański, Kazimierz Stembrowicz – za Rosję, a Jurek Targalski – tak trochę za wszystko. Mnie natomiast po prostu przydzielono sprawy bałtyckie. Wiązała się z tym, nakazana przez Targalskiego, konieczność uczenia się języków regionalnych, jak ktoś jeszcze nie umiał (z tą zasadą *nota bene* dziś zgadzam się na 100 procent). Dlatego dostałem nakaz uczyć się łotewskiego i litewskiego.

Doszedłem jakoś po roku do takiego poziomu, że byłem w stanie w miarę czytać i rozumieć teksty. Była jeszcze osoba od Ukrainy, która przestała przychodzić po kilku spotkaniach, i ktoś od Bałkanów. Potem dołączyły do redakcji „Obozu” nowe osoby. Na przykład student historii sztuki Robert Bogdański, Krzysztof Dębnicki, który odpowiadał za sprawy Azji Środkowej, Iwanczo Gyłybow odpowiedzialny za problematykę bułgarską (potem razem ze swoją żoną Grażyną Szwat).

Losy tych osób różnie się potoczyły. W suwerennej Polsce Marek Pernal został ambasadorem w Pradze, Wojtek Maziarski – znakomitym dziennikarzem, Andrzej Ananicz był parokrotnie wiceministrem spraw zagranicznych oraz ambasadorem w Turcji i Pakistanie, Kazimierz Stembrowicz – znakomitym edytorem Wydawnictwa Sejmowego, Robert Bogdański – m.in. szefem Polskiej Agencji Prasowej, Krzysztof Dębnicki – radcą ambasady w Indiach oraz ambasadorem w Mongolii i Pakistanie. Jerzy Targalski jeszcze w podziemiu założył inne czasopismo i swoją partię Niepodległość, a następnie od 1984 r. był przez kilkanaście lat na emigracji we Francji. W „Kulturze” prowadził specjalną swoją rubrykę, co było dowodem wielkiego uznania ze strony Jerzego Giedroycia. Potem był wykładowcą Studium, a obecnie Akademii Sztuki Wojennej w Rembertowie.

„Obóz” był pierwszym i do końca PRL najważniejszym czasopismem poświęconym Sowietom. Po dwóch latach, gdy Jerzy Targalski skupił się na działalności ściśle politycznej, czyli założył tę Ludowo-Demokratyczną Partię „Niepodległość” oraz nowe czasopismo pod taką samą nazwą, postanowił przekazać mi kierowanie „Obozem”. Późną wiosną 1983 r. na spacerze w parku Paderewskiego dostałem tę zaskakującą propozycję, a właściwie zostałem zmuszony, by zostać redaktorem naczelnym „Obozu”, co było dla mnie ogromnym szokiem. Miałem 25 lat, a to było tak bardzo ważne przedsięwzięcie. Potem, chyba w roku 1985, na poziomie zeszytu numer 8 lub 9, wrócił ze stypendium w Stanach Zjednoczonych Andrzej Ananicz i przekazałem mu funkcję głównego redaktora. Wydałem więc zeszyty 4–8, w tym kluczowy dla mnie zeszyc numer 7, ponieważ tam ukazała się deklaracja założycielska podziemnego Instytutu Europy Wschodniej.

### **W jaki sposób funkcjonowała redakcja „Obozu”?**

Należy po pierwsze zwrócić uwagę na rzecz podstawową. Okres Solidarności to było „szaleństwo jawności”. Taki piękny mit wzięty od Jacka Kuronia – „nie palmy komitetów, zakładajmy swoje”. Wszystko jawne, wszystko mówimy, wytrącimy wrogość z ręki argumenty, bo jak nie mamy

nic do ukrycia, to za co mają nas wsadzić... Wtedy wszystkie czasopisma miały ujawnione składy redakcji, numery telefonów domowych itd. I rzeczywiście na ogromnym obszarze to skutkowało, to znaczy rzeczywiście nie atakowano. Jednakże w „Obozie” uważaliśmy, że należy wszystko zachować w konspiracji. Po pierwsze, nasze przekonanie, jako ludzi zajmujących się Sowietami, było takie, że nie atakują, ponieważ nie mogą, bo są w osłabieniu albo jeszcze nie wiedzą. Natomiast jawność dawała im gotowy materiał do teczki, czyli wiedzę kogo atakować, gdy już będą mogli. O pozostaniu w całkowitej konspiracji zdecydował już na samym początku Jurek Targalski. Mimo że zajmował się, jak wspominałem, naukowo starożytnym wschodem, miał bardzo dobrą orientację w dziejach polskiej konspiracji od powstania styczniowego po II wojnę światową. Jego zdaniem, pisząc takie rzeczy o komunizmie, dotykaliśmy najgłębszych interesów sowieckich i gdy będziemy jawni, KGB uderzy i nie będą w ogóle się bawić. Zatem jeśli chcemy przeżyć i zrobić to, co zamierzamy, to musimy zachować absolutną tajność. Została przyjęta reguła, że nikt nikogo nie zna i nikomu o niczym nie mówi, że przynależność do redakcji „Obozu” to rzecz absolutnie tajna. Nie mogą o tym wiedzieć ani rodzina, ani dziewczyna, ani żona. Druga podstawowa zasada mówiła, że nie angażujemy się w żadne inne przedsięwzięcia podziemne. Co też było ewenementem, gdyż wszyscy wtedy robili we wszystkim. Jednak zdaniem Targalskiego im więcej kontaktów, tym większa szansa, że się gdzieś trafi na jakiś „ogon”, a oni potem za tym pójną. Zresztą zazwyczaj tak właśnie wyglądały wypadki.

Kiedy byłem „wciągany” do redakcji, powiedziałem Jurkowi Targalskiemu, że jeżdżę do archiwów i przygotowuję pracę naukową na temat Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość (WiN), powiatu kolskiego, w którym był mój Ojciec, wtedy jeszcze żyjący. Mówiłem, że oni mieli wielkie osiągnięcia, że jest możliwość dojścia do dokumentów, że prowadzę rozmowy z uczestnikami i świadkami wypadków, którzy jeszcze żyją. Na co Targalski odpowiedział: „Człowieku, Armia Krajowa! WiN! Tym niech się słabi zajmują, bo za to nic nikomu nie grozi. Ja ci oferuję tematy, którymi mało kto się zajmuje, bo wszyscy się boją, bo za to można dostać po łbie natychmiast”. I on miał taką siłę przekonywania, że to wszystko zostawiłem. Potem mój Ojciec zmarł, poumierali też żołnierze, którzy jeszcze wówczas żyli, zmarł też pewien ubowiec, który dał mi nawet wtedy wywiad. I tego dotychczas nie napisałem.

Zasada nieangażowania się w inne działania w „Obozie” została bezwzględnie dotrzymana. Złamałem jednak ją, tworząc w podziemiu Instytut

Europy Wschodniej. Wpadłem nie z tej przyczyny i okazało się, że ta święta zasada była słuszną, ponieważ gdy mnie przesłuchiowano, to automatycznie podejrzewano mnie o przynależność do redakcji „Obozu”, ale SB nie miała żadnych dowodów.

Jak pracowała redakcja? Spotykaliśmy się stosunkowo często, najpierw w mieszkaniach rodzinnych, a ponieważ byliśmy gronem studentów, doktorantów i młodych pracowników uniwersyteckich, łatwo było znaleźć dla tych spotkań wytłumaczenie. Najwięcej spotkań odbywało się w mieszkaniu Kazimierza Stembrowicza, który mieszkał na Chomiczówce, do tej pory dokładnie pamiętam adres (ulicę, nr domu, mieszkania, choć nie byłem tam prawie 30 lat). Było największe spośród tych, które znajdowały się w zasięgu, było więc wygodne. Czasami spotykaliśmy się u Andrzeja Ananicza, który mieszkał wtedy przy ulicy Egejskiej, na Stegnach. Te obydwa mieszkania znajdowały się w dużych, nowych blokach, których zaletą było to, że trudno było rozpoznać, gdzie kto wchodzi. Spotykaliśmy się także w mieszkaniu Marka Pernala przy ul. Kinowej.

Potem, gdy przejąłem redakcję „Obozu”, to już stosowałem absolutną konspirację, to znaczy nie spotykaliśmy się we własnych domach, ale wyłącznie w lokalach, ustalonych i spełniających różne wymogi, np. musiało być drugie wyjście, przejście piwnicami, łącznik na piętrze lub możliwość przechodzenia loggiami itp. (do tej pory pamiętam dwa takie znakomite lokale – przy ul. Słowackiego/ wcześniej róg Stołecznej oraz przy ul. Braclawskiej).

W maju 1985 r. zostałem aresztowany. Gdy wyszedłem z więzienia, ówczesny redaktor naczelny „Obozu” Andrzej Ananicz zabronił mi angażować się bezpośrednio w jakiegokolwiek działania podziemne. W związku z tym poszukiwałem wówczas ciekawych materiałów i tłumaczyłem je dla „Obozu”, robiłem jakieś noty dla „Obozu” i innych czasopism.

### **Jakie były poglądy redakcji „Obozu” na siłę i trwałość systemu komunistycznego?**

Powiem tak, jak wiadomo, im więcej lat od upadku Związku Sowieckiego, tym szersze jest grono tych, którzy przewidzieli upadek Związku Sowieckiego...! Otóż my byliśmy przekonani, że imperium kiedyś upadnie. Byliśmy wyznawcami prometeizmu w tym sensie, że Związek Sowiecki pęknie po tak zwanych szwach narodowościowych, a była to właśnie główna teza tej przedwojennej koncepcji politycznej. Nie twierdziliśmy jednak, że Związek Sowiecki za chwilę padnie. Nawet mój śp. Ojciec, kiedy umierał

w roku 1985 r., powiedział: „No widzisz, ja już nie doczekam końca tego wszystkiego, ale ty owszem, i to szybko doczekasz”. Odpowiedziałem: „Tatuś, no chciałbym, ale widzisz, jak to się trzyma”. A tu się okazało, że po pięciu latach Związek Sowiecki upadł, mało – imperium padło! Teraz ludzie wmawiają, że wszyscy wiedzieli. Było parę osób, które o tym napisały, na przykład Zbigniew Brzeziński. Dzisiaj, *post factum*, każdy jest mądry. Uważaliśmy, że Związek Sowiecki jest potężny i byliśmy absolutnie przekonani, że może zgnieść każdego, kogo tylko zechce. Daleki jestem nawet od tego, żeby dodawać sobie dziś powagi czy odwagi, jaką miałbym mieć wówczas. Ponieważ byliśmy wtedy bardzo młodzi, więc do końca nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, na co się rzucamy, jak wielkie jest niebezpieczeństwo związane z zajmowaniem się sprawami sowieckimi. W Warszawie funkcjonowała rezydentura KGB na najwyższym poziomie. Tak naprawdę mogli nas nawet wywieźć. Tyle, że byliśmy tak młodzi, że chyba nawet nie zdawaliśmy sobie sprawy ze skali niebezpieczeństwa.

### **Jakie były inne ważne tytuły poświęcone blokowi sowieckiemu?**

Inne ważne tytuły były tylko dwa, ponieważ część tytułów uważanych za inne też były nasze! Na przykład mało znane czasopismo „Zona”, wydawane w latach 1984–1985, które uchodzi za odrębne, było tak naprawdę wydawane przez redakcję „Obozu”. Czasopismo „Obóz” było wydawane w języku polskim, a pismo „Zona”, dotyczące „obrzeży obozu”, wydawane było w językach obozowych. Wszedł zeszyt w języku czeskim i zeszyt w języku węgierskim. Obydwa zostały przerzucone do tych krajów. Do Czechosłowacji został przeniesiony przez Sudety w kilkunastu plecakach. Zaistniał w tamtejszym środowisku i występuje we wspomnieniach tamtejszej opozycji. Zeszyt węgierski został przewieziony pociągiem „Batory”, ale już nie będę opowiadał jakimi sposobami. Niestety, gdy przygotowaliśmy trzeci zeszyt, w języku ukraińskim, doszło do jakiegoś zaostrzenia działań SB, tak że kolejarzy bali się wziąć pieniądze i nie dało się go przerzucić, z tego też powodu nie został chyba nawet ostatecznie wydrukowany. Nie pamiętam dokładnie.

To my wydawaliśmy również BIO – „Biuletyn Informacyjny Obozu”, to znaczy taki prawdziwy serwis informacyjny dla redakcji podziemnych na temat Wschodu. Redakcje abonowały „Biuletyn”, zamieszczając wyłącznie przedruki, a my zajmowaliśmy się gromadzeniem informacji wyłącznie o Wschodzie. Czerpaliśmy informacje z dwóch źródeł. Przede wszystkim z czasopism zachodnich – mieliśmy do nich dostęp głównie dzięki Markowi Pernalowi, który pracował w Sekretariacie Konferencji Episkopatu Polski.

Drugim źródłem był ciągły nasłuch radiostacji zachodnich – Radio Liberty, Free Europe, Radio Madryt, RFI, Radio Waszyngton czy Radio Watykańskie. Warto przypomnieć, że Radio Madryt miało silną polską sekcję, po pierwsze ze względu na postawę generała Franco, a po drugie w Madrycie była całkiem duża polska, antykomunistyczna emigracja prometejska, z Józefem Łobodowskim włącznie. Warto jeszcze wspomnieć o czasopiśmie „Europa”, które wbrew nazwie też zajmowało się sprawami Wschodu, a jego trzy numery wydane w latach 1985–1986 przygotował zespół podziemnego Instytutu Europy Wschodniej, pod kierunkiem Jerzego Chmielewskiego.

Dwa ważne tytuły, które zajmowały się sprawami wschodnimi, wydawane przez inne środowiska to „ABC”, założone w 1984 r., w redakcji był między innymi Bronisław Komorowski, oraz „Nowa Koalicja” Grzegorza Kostrzewy-Zorbasa wydawana od 1985 r. Problem polega na tym, że nie mieliśmy związków ze sobą. Tak jak mówiłem, w „Obozie” bezwzględnie stosowaliśmy konspirację.

### **Jak redakcja „Obozu” postrzegala zagadnienia ukraińskie?**

Sprawy ukraińskie były postrzegane raczej w kontekście prometejskim, to znaczy, że Ukraina jest wielkim krajem i ma tak silny naród, że to zagrozi istnieniu Związku Sowieckiego. Była to kontynuacja przedwojennej wizji prometejskiej, choć nie zawsze członkowie redakcji zdawali sobie z tego sprawę. Ukraińcy to duży naród, który ma własną rozwiniętą literaturę i własne środowiska intelektualne. Naród, który prowadził walkę o własne państwo i niepodległość. To są dowody na to, że to się gotuje i może się zakończyć katastrofą Związku Sowieckiego, czyli myślenie prometejskie i geopolityczne. Podówczas nie podnosiliśmy polsko-ukraińskich kwestii spornych czy też na przykład Wołynia. Nawet nie dlatego, że nie wiedzieliśmy, bo o Wołyniu się wiedziało, chociaż, to trzeba przyznać, nikt z nas nie znał skali i bezwzględności tej zbrodni.

### **Jak doszło do założenia Instytutu Europy Wschodniej?**

Wydaje mi się, że koncepcję wymyśliłem wiosną 1983 r. Następnie, chyba w czerwcu–lipcu, złożyłem wnioski do władz podziemnych Solidarności o dotacje na założenie Instytutu. Pamiętam, że kilka czy kilkanaście tygodni trwało zanim zostałem przyjęty. Zapewne nie tylko dlatego, że było dużo spraw, ale też badano, sprawdzano mnie. Zostałem przyjęty przez wiceprzewodniczącego zarządu podziemnej „Solidarności” Region Mazowsze Wiktora Kulerskiego. Miał on dokument, który im do Regionu wysłałem, był bardzo

zdziwiony moim bardzo młodym wiekiem, trochę o tym podyskutowaliśmy, ale dał się przekonać i zgodził się na tę dotację. Została mi ona przekazana później na organizację Instytutu.

Skąd pomysł na założenie Instytutu? Zrodził się on z powodu tego, że skoro już zająłem się tym „Obozem”, to samo redagowanie rzeczy antysowietkich wywołało we mnie ciekawość, jak to robiono wcześniej przed wojną. Byłem pod wielkim wrażeniem dwóch rzeczy. Po pierwsze, byłem pełny uznania dla dokładnej pracy niemieckich instytutów wschodnich naukowo bardzo zasłużonych, które istniały w wielu miastach, na przykład w Königsbergu, Breslau, Lipsku czy Berlinie. Po drugie, byłem wprost zafascynowany (to będzie najlepsze słowo) dwoma przedwojennymi polskimi instytutami wschodnimi, czyli Instytutem Wschodnim w Warszawie i Instytutem Wschodnim w Wilnie (dokładnie: Instytutem Naukowo-Badawczym Europy Wschodniej). Niewiele wówczas na ten temat można było przeczytać i niewiele się wiedziało, ale to stąd przyszła myśl, żeby zrobić coś podobnego. Szaloną myślą było jednak robienie podziemnego (!) Instytutu Wschodniego. Jak wiemy, nie da się zrobić podziemnego instytutu (każdego, nie tylko Wschodniego). Niestety, tego wtedy nie wiedziałem. Dostałem więc tę dotację i Instytut powstał. Mając dzisiejszą wiedzę o funkcjonowaniu tego typu instytucji na miejscu Kulerskiego pewnie bym się nie zgodził, choć to brzmi trochę zabawnie w moich ustach (oczywiście żartuję).

### **Jednak mimo wszystko Instytut Europy Wschodniej w podziemiu funkcjonował...**

Tak, po prostu moja ocena, podana wcześniej, to ocena już pracownika normalnego uniwersytetu, po 30 latach, w normalnych czasach. A wtedy były czasy nadzwyczajne. W związku z tym i taka rzecz jak podziemny instytut mogła dojść do skutku. Przynajmniej w fazie podstawowej.

Omawiając działanie Instytutu, należy najpierw zajrzeć do „Obozu” numer 7, gdzie znalazła się deklaracja o powołaniu Instytutu Europy Wschodniej. Zaplanowałem, że Instytut będzie składał się z trzech części.

Część pierwsza – czysto naukowa; to znaczy, że będą podziemne seminaria magisterskie, ale przede wszystkim seminaria doktorskie, na których będzie się przygotowywać prace badawcze. Prace te będą bronię przed podziemną radą naukową, a następnie – nostryfikowane na Zachodzie. Wiadomo było, że w oficjalnych radach wydziałów to się nie uda, bo wszędzie są jacyś agenci, którzy doniosą itd., więc działalność podziemnego instytutu musiała być całkowicie oddzielona od oficjalnego systemu.

Dział drugi – wydawniczy; i tu miały być wydawane książki i czasopisma. Utworzyłem dwie serie wydawnicze. W serii sowietologicznej wydane zostały dwie pozycje: *Rozmowy z Borysem Bażanowem*, który był sekretarzem Józefa Stalina, oraz część jednotomowej wersji *Od białego do czerwonego caratu* Jana Kucharzewskiego. Utworzyłem osobne wydawnictwo mające służyć tym celom wydawniczym pod nazwą POWIEW, czyli Podziemna Oficyna Wydawnicza Instytutu Europy Wschodniej. Nie był to tylko akronim, ale także „powiew” w sensie „powiewu wolności”. Miało też być utworzonych kilka nowych czasopism dotyczących Ukrainy, zagadnień sowietologicznych oraz Litwy i Białorusi. Na etapie planowania zrezygnowałem z Białorusi, kiedy z rozmowy z poznanym wtedy Markiem Karpiem dowiedziałem się, że jego środowisko będzie wydawało czasopismo „Materiały do Stosunków Polsko-Białoruskich”. Z kolei czasopisma o Ukrainie i sowietologii, choć już dobrze przygotowane, nie wyszły z powodu mojego aresztowania.

Dział trzeci, to miał być dział analityczno-informacyjny. Tu korzystaliśmy z tych nasłuchów do „Biuletynu Informacyjnego Obozu” oraz utworzyłem dość duży zespół, którzy analizował prasę komunistyczną. W sumie było kilkanaście osób. Kupowaliśmy w KMPiK-u wszystkie organy prasowe partii komunistycznych, Związku Sowieckiego i krajów obozu (wtedy tytuły były obowiązkowo do Polski sprowadzane, choć faktycznie nikt ich nie kupował, chyba tylko my). Czytali je i analizowali ludzie znający te języki. To wszystko opłacałem ze środków, które dostałem od Solidarności. Ten trzeci dział, wypisz wymaluj, to jest to, co potem zrobił Marek Karp, tworząc swój znakomity Ośrodek Studiów Wschodnich. Część sekcji językowych działało lepiej, część gorzej. Do najlepszych działów należały, z tego co pamiętam, ukraiński i rumuński. Jak zawsze decydująca była sprawa kadr...

Trzeba jeszcze powiedzieć o ciałach zarządzających. Było ich kilka. Najbliższe mnie ciało techniczno-organizacyjne składało się z trzech starszych wtedy już dla mnie ludzi (emerytów). Do tego grona należał Stefan Rakowski, który odpowiadał głównie za wszystkie tłumaczenia, gdyż był biegłym znawcą kilku języków i zawodowym tłumaczem. Ponadto był moim nauczycielem jako drukarz i wydawca, gdyż był on 40 lat wcześniej drukarzem w jednej z drukarni „Biuletynu Informacyjnego KG AK” w czasie wojny. Przejąłem od niego wszelką wiedzę wydawniczą i chlubię się, że jestem jego uczniem. Kolejne osoby to Tadeusz Morysiński, który odpowiadał za sprawy techniczno-organizacyjne, oraz Romuald Bardzyński, były partyzant Armii Krajowej



z Nowogródzyczyny z oddziału por. „Krysi”, który odpowiadał za bezpieczeństwo. W tym kontekście mogę dodać, że od 1983 r. byłem członkiem podziemnej organizacji wojskowej. Złożyłem formalną przysięgę wojskową, palce trzymałem na krucyfiksie, a potem dowiedziałem się od przyjmującego przysięgę, że każda zdrada karana jest śmiercią. Po prostu! Jak w czasie wojny, okupacji i AK czy WiN. To było bardzo wzruszające. Do dziś to pamiętam.

Była jeszcze druga grupa, coś w rodzaju zespołu zarządzającego, do którego zaprosiłem dr. Jerzego Kumanieckiego, który był wielkim znawcą stosunków polsko-sowieckich w okresie II Rzeczypospolitej. Żeby było śmieszniej, pracował on wówczas w Instytucie Krajów Socjalistycznych PAN, czyli komunistycznej *jaczejce*. Był on synem najwybitniejszego polskiego filologa klasycznego – Kazimierza Kumanieckiego (nie było to akurat dla mnie bez znaczenia, ponieważ poza historią, kończyłem wtedy filologię klasyczną, niestety profesor Kumaniecki już nie żył). Zaprosiłem także Jerzego Chmielewskiego, który był pracownikiem slawistyki na Uniwersytecie Warszawskim. Odpowiadał on z kolei za Europę Środkową i Bałkany. Czyli siłą rzeczy każdy miał swój odcinek. Spotkania odbywały się najczęściej u Jerzego Kumanieckiego przy ulicy Sewerynow 6, w słynnym domu profesorskim.

Istniała przy mnie także grupa 4–5 młodych ludzi, coś w rodzaju „oddziału przybocznego”, którzy zajmowali się głównie sprawami wydawniczymi i kolportażem. W celu dopełnienia struktury Instytutu powołałem Radę Naukową podziemnego Instytutu Europy Wschodniej. To dziś nie do wiary. Czterech wybitnych, poważnych naukowo, wiekiem i doświadczeniem ludzi zgodziło się przystąpić do Rady Naukowej Instytutu na prośbę 25-letniego doktoranta, który ich tak po prostu poinformował, że tworzy taki instytut! Trzech pierwszych to: dr Adolf Juzwenko, późniejszy dyrektor Ossolineum, doc. Andrzej Drawicz, z Wydziału Polonistyki UW, znany specjalista kultury i literatury rosyjskiej, oraz doc. Jerzy Holzer, z Wydziału Historycznego UW, autor m.in. książki o historii Solidarności pt. „*Solidarność*” 1980–1981. Ta Rada Naukowa najczęściej miała spotkania w mieszkaniu babci mojej łączniczki Moniki, przy ulicy Śmiałej. Posiedzenia odbywały się mniej więcej co miesiąc – półtora (czyli *nota bene* tak jak odbywają się rutynowe posiedzenia rad naukowych normalnych instytutów – ale o tym dowiedziałem się później).

Jesienią 1985 r. po raz pierwszy w życiu pojechałem na Zachód. Wtedy z pomocą Andrzeja Chileckiego, wybitnego działacza emigracyjnego z Kolonii, uzyskałem zgodę dwóch zachodnich instytutów na to, że będą

nostryfikować dyplomy uzyskane przez doktorantów podziemnego Instytutu Europy Wschodniej w Polsce! Był to efekt wrażenia, jakie wywoływała na Zachodzie informacja, że jestem redaktorem „Obozu”. Pismo miało tak niewiarygodną renomę na Zachodzie, że byłem tym absolutnie zaszokowany. Oni wszyscy nie zdawali sobie sprawy, że jesteśmy malutkim, młodzieżowym zespołem. Oni uważali nas za jakiegoś giganta, jakby to była jakaś dywizja antykomunistyczna. Gdy dyrektor bardzo ważnego, zajmującego się Związkiem Sowieckim instytutu naukowego usłyszał, że ktoś z „Obozu” prosi, żeby nostryfikować podziemne prace doktorskie, mówił „nie ma problemu, niech przysyłają, a ja stawiam na radę i będzie zrobione zgodnie z naszym porozumieniem” (dodajmy – ustnym porozumieniem).

Podam inny przykład znaczenia „Obozu”. Tłumaczyliśmy wtedy i przygotowywaliśmy do edycji słynną książkę Michaiła Hellera i Aleksandra Niekricza *Utopia u władzy. Historia Związku Sowieckiego*. Andrzej Chilecki zatelefonował przy mnie do Michaiła Hellera, którego znał, powiedział, że jest u niego przedstawiciel „Obozu” i zapytał, czy on sam i Niekricz zgodziliby się napisać wstęp do podziemnego wydania ich książki w języku polskim. Heller odpowiedział, że oczywiście tak, że zadzwoni zaraz do Niekricza, który mieszkał w Stanach Zjednoczonych, i że ten wstęp dostaniemy. Nie tylko się zgodzili, ale już następnego dnia miałem go w ręku (faxem do Kolonii, mailowej poczty jeszcze nie było!, to był rok 1985).

### **Instytut przestał funkcjonować po Pańskim aresztowaniu?**

Niestety tak. Tak często bywa, że jakieś przedsięwzięcie przestaje istnieć, gdy zabraknie założyciela przed dojściem do stanu, gdy może ono samodzielnie funkcjonować. Mając wystarczającą wiedzę o zasadach konspiracji, cały czas brałem pod uwagę możliwość aresztowania. Dlatego Jerzy Chmielewski był przygotowany na to, że w takiej sytuacji przejmuje wszystko. I tak się stało. Natomiast albo spraw było za dużo i były za szczegółowe, albo zagrożenia były zbyt duże, dość, że ta inicjatywa przymarła i pod moją nieobecność wyszedł tylko zeszyt czasopisma „Europa”, przygotowany przez Jerzego Chmielewskiego, zeszyt zresztą bardzo dobry. Gdy wyszedłem z więzienia, z wyrokiem w zawieszeniu, Andrzej Ananicz, główny redaktor „Obozu”, jak mówiłem wcześniej, uznał, że w imię interesów „Obozu” lepiej, żebym pozostał na powierzchni, niż poszedł znowu do więzienia. Dlatego miałem nie angażować się w czynną działalność nielegalną, zajmując się sprawami organizacyjnymi i tłumaczeniami.

### **Jak doszło do aresztowania?**

Nie mieliśmy, prawie na pewno, żadnej agentury wewnątrz struktur Instytutu i redakcji „Obozu”. Natomiast wpadka była absolutnie klasyczna, mianowicie na styku z drukarnią. Oni kontrolowali bardzo dokładnie wszystkie drukarnie. Udało mi się znaleźć dla Instytutu tzw. dojście do drukarni jakiegoś branżowego instytutu budownictwa (lub coś podobnego) przy ulicy Senatorskiej. Drukarz nie był agentem, ale prawdopodobnie został złapany na czymś nielegalnym, złamany i zmuszony do współpracy, po prostu był słabym człowiekiem. My mu oczywiście płaciliśmy i liczyłem, że te porządne pieniądze, jakie mu dajemy, zabezpieczają nas przed jego zdradą. Pieniądz zwykle jest silnym gwarantem lojalności. On jednak mnie sprzedał. Mówię to prawie na sto procent, bo dostałem swoją teczkę w IPN, ale to, kto wydał, było zaczernione. Po analizie faktów ustaliłem, że to był on. Nie chciało mi się już potem występować o odtajnienie, do czego, jako mający „status pokrzywdzonego”, miałem prawo. Po prostu mam za dużo pracy.

Zostałem aresztowany 3 maja 1985 r. Ta data jest przypadkowa i nie ma związku z ogromnymi demonstracjami, które się wówczas odbywały. Odbierałem wówczas nakład *Od białego do czerwonego caratu*, ponieważ ktoś ze współpracowników coś zawałił (wtedy też to się zdarzało...) i musiałem sam to zabrać. Musiałem odebrać właśnie od tego drukarza, bo wydrukowane nielegalne materiały nie mogły tam pozostawać do rana. Musieliśmy dotrzymać ustaleń. Pożyczonym od niego samochodem Syrena 105 L (to ważne, bo to była Syrena z nowym silnikiem) zabrałem te druki i kiedy jechałem do lokalu, zobaczyłem, że mam tzw. ogon. Wjechałem na rondo Zawiszy i świadomie na samym końcu żółtego światła czy początku czerwonego bardzo szybko zjechałem z ronda, a oni zostali na czerwonym, bo już nie mogli przejechać. I w ten sposób udało mi się ich zgubić. Jeszcze nigdy wcześniej nie jechałem tak szybko... Odstawiłem samochód z materiałami drukarskim i wróciłem do domu na piechotę. Niestety tam już stały inne samochody SB. Dzięki połączeniom radiotelefonicznym wiedzieli, że im się wymknąłem i czekali na mnie pod domem (mieszkałem wtedy na Ochocie przy ul. Białobrzeskiej 1 i róg Dickensa). Było to około południa. Z mieszkania podczas przeszukania zabrano wiele wydanych na Zachodzie książek i czasopism sowieologicznych. Oni byli tak zaszokowani jakością tego, co robię i co miałem w domu (w sensie jakości biblioteki naukowej), że zaczęli mi mówić *per pan*. Najpierw zabrali mnie na Rakowiecką na przesłuchanie. Wówczas dopiero dowiedziałem się, że jest boczny wjazd do siedziby SB

od ul. Batorego (dziś to jest adres MSWiA). Potem zawieźli mnie do Pałacu Mostowskich. Tam ze złodziejami byłem jedną lub dwie noce, to osobna opowieść, w każdym razie wspomnienie mam bardzo pozytywne.

Chcę jeszcze powiedzieć, że miałem wtedy malutkie dziecko, córkę Wiktorię. Żony nie było w domu, gdy mnie aresztowano i nie pozwolili mi zostawić żadnej wiadomości, ale jeszcze wieczorem w dniu aresztowania ktoś z Prymasowskiego Komitetu Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i ich Rodzinom zapukał do drzwi z pomocą...! Tak to działało. Potem byłem bardzo poruszony, jak po wyjściu z więzienia się o tym dowiedziałem. Do tej pory mnie to wzrusza...

Postawiono mi trzy zarzuty: godzenie w trwałość systemu, łamanie ustawy karno-skarbowej (ponieważ znaleziono przy mnie pieniądze) i próba obalenia ustroju siłą (ponieważ znaleziono przy mnie broń). Broń ta była z czasów I wojny światowej – karabin Mauser. Ale broń to broń. Z tego zamiaru ostatecznie zrezygnowano, ponieważ stwierdzono, że nie strzelano z niej od bardzo dawna.

Wyszedłem z więzienia symbolicznego dnia, podobnie jak z datą aresztowania, a mianowicie 29 listopada 1985 r. – dzień czy dwa po wydaniu wyroku i orzeczeniu kary w zawieszeniu, straciłem też pieniądze, głównie służbowe, ale i prywatne, które miałem w mieszkaniu w momencie aresztowania.

### **Jaka była geneza Studium Europy Wschodniej?**

„Obóz” dotrwał do upadku władzy komunistycznej. Kiedy system zaczął się chwiać, zaczęliśmy dochodzić do wniosku, że musimy przenieść się na grunt uniwersytecki. Byliśmy z Andrzejem Ananiczem najważniejszymi osobami tych działań. Zakładałem Instytut Europy Wschodniej i byłem z powodu wyroku trzymany „w rezerwie” np. do takich spraw, a Ananicz, bo już pracował na uniwersytecie. Celem funkcjonowania „Obozu” nie było wyłącznie publikowanie, lecz także wpływanie na kształtowanie kadr. Stąd już była prosta droga do uniwersytetu. W ten sposób powstało Studium Europy Wschodniej, które przejęło wydawanie „Obozu”.

Studium Europy Wschodniej było dla mnie oficjalną, „naziemną” kontynuacją podziemnego Instytutu Europy Wschodniej. Do tego stopnia, że od razu uważałem, że należy dążyć do zakładania jednostki naukowej o tej nazwie. Andrzej Ananicz, z przyczyn formalnych, pracujący w strukturach uniwersyteckich, wiedział, że nam na to nie pozwolą i wyrażał jednocześnie przekonanie, że to będzie zbyt mała struktura, żeby mogła być instytutem. Jako pracownik uczelni on już to wszystko wiedział. Dlatego najpierw

zostało założone ciało o nazwie Seminarium Problemów Narodowościowych Europy Środkowo-Wschodniej, decyzją Senatu UW z 5 grudnia 1990 r. (to jest jedna z dwóch dat założycielskich, druga – to 26 października 1998 r., kiedy premier Jerzy Buzek otworzył nasze „Studia Wschodnie”). Seminarium zostało umieszczone przy Instytucie Orientalistycznym. Stało się tak dlatego, że najpierw od Ananicza jako redaktora „Obozu” dostałem polecenie załatwienia tego po prostu na uniwersytecie. Byłem już absolwentem, wtedy na seminarium doktoranckim prof. Gieysztor na historii, ale nie dogadałem się z historykami, bo jako człowiek podziemia, miłujący wolność, domagałem się wolności i absolutnej autonomii dla naszego przedsięwzięcia. A oni nie wyobrażali sobie, żeby taka nowa i mała jednostka miała absolutnie wolną rękę w robieniu tego, co chce! Dlatego się nie udało z Instytutem Historycznym UW. Wtedy przejął pałeczkę Andrzej Ananicz, który zaczął rozmawiać z władzami Instytutu Orientalistycznego i prof. Tadeuszem Majdą, kierownikiem Zakładu Turkologii. Na koniec, z Ananiczem i prof. Majdą, poszliśmy do prof. Bogdana Składanka, ówczesnego dyrektora Instytutu Orientalistycznego. Powiedzieliśmy, że chcielibyśmy taką strukturę zorganizować i prosimy o przeprowadzenie procesu formalnego. On się zgodził pod jednym warunkiem, żeby nie skończyło się na tym, że to on będzie musiał to wszystko organizować i prowadzić, jak to zwykle, jak powiedział, w takich wypadkach bywa. Roześmialiśmy się z Ananiczem i powiedzieliśmy: „Nie, Panie Profesorze, tego to nie musi się Pan obawiać”. Po paru miesiącach Senat UW zatwierdził ten projekt. Po różnych zmianach została przyjęta ostatecznie nazwa Studium Europy Wschodniej. Jest ono obecnie jedną z największych placówek zajmujących się postsowieciologią w Polsce, a może i w regionie.

### **Na zakończenie naszej rozmowy chciałem zapytać, czy Pan podziela pogląd, że Rosja nie może być mocarstwem bez Ukrainy?**

Takie było stanowisko Zbigniewa Brzezińskiego, które wyraził w swej słynnej książce, a także dość dużej grupy badaczy. Jest to teza, z którą w znacznej mierze się zgadzam. Dlaczego nie ma imperium rosyjskiego bez Ukrainy? Tu po pierwsze chodzi o kwestie rozległości terytorium, za którym idzie potencjał ludnościowy i gospodarczy.

Kwestia druga, na którą mało się zwraca uwagę, a nawet wielki Brzeziński mało zwracał na to uwagę, to kwestia „tożsamości historycznej”. Dla Rosji Ukraina jest bardzo ważna jako część ich mitu założycielskiego. Jeżeli odetnie się Ukrainę od dziejów Rosji, to się natychmiast sugeruje, że dzieje Rosji

nie zaczęły się od Włodzimierza Wielkiego, jego chrztu na Krymie, tylko zaczęły się kilka wieków później. To jest odcięcie niezwykle ważnych korzeni, na których opiera się mit założycielski Rosji, oraz odcina się w ten sposób tę, jak to oni rozumieją, bezpośrednią nić z Konstantynopolem. Dlatego dla nich ta ciągłość założycielska jest tak ważna i myślę, że jest nawet ważniejsza niż sam potencjał gospodarczy Ukrainy. Ukraina nie jest częścią Rosji, kilkadziesiąt już lat są oddzieleni i żyją, prawda?

Dalej, kontynuując ten wątek mitu rosyjskiego, Kijów jest jedną z trzech stolic języka rosyjskiego z powodu kilkuwiekowej przynależności do imperium rosyjskiego i z powodu tego, że Kijów był jedną z metropolii. Tam było mnóstwo inteligencji rosyjskiej i Kijów stał się obok Moskwy i Petersburga jedną ze stolic ich języka. I znowu odcięcie tego, to znaczy powiedzenie, że byli tam okupantami albo byli obcymi, jest dla nich takie ważne.

No i trzecie uzasadnienie tezy Brzezińskiego – jeśliby tak nie było, jak zakładamy, nie walczyliby tak zażarcie o Krym, co jest dla nich symbolem przywrócenia na nowo ich wielkiego imperium, ani nie walczyliby o próbę przywrócenia Małorosji, czego początkiem był atak na Donbas.

### **Skoro teza Zbigniewa Brzezińskiego jest prawdziwa, to wniosek jest taki, że Rosja „nie odpuści” Ukrainy?**

Nie, Rosja „nie odpuści” Ukrainy, nie miejmy wątpliwości. A czy niezależnej Ukrainie uda się obronić? Historyk nie może być w stu procentach pewny. Nie chodzi o kwestie osobiste. Bo to pokazuje nam historia. Jako historycy możemy spokojnie powiedzieć, że nigdy nie można być absolutnie pewnym. Proszę spojrzeć na lata 1918–1920. Było państwo ukraińskie o mały włos by przetrwało. Przetrwały jednak tylko małe państwa bałtyckie – Litwa, Łotwa i Estonia, a Ukraina jednak nie. Chociaż już od ogłoszenia tzw. IV Uniwersału państwo ukraińskie zostało uznane przez kilka, chyba około dziesięciu państw. Warto zwrócić uwagę na to, że Polska uznała państwo ukraińskie w 1991 r. po raz trzeci. Przed wojną Polska dwa razy uznała Ukrainę. Rząd Rady Regencyjnej uznał prawnie Ukraińską Republikę Ludową, tę Ukrainę Dyktoriiatu w Kijowie, a potem w imieniu Józefa Piłsudskiego płk Walery Sławek podpisał tzw. układ Piłsudski–Petlura w nocy z 20 na 21 kwietnia 1920 r., który to układ prawnie i formalnie uznał Ukraińską Republikę Ludową. Na tej podstawie został zawarty sojusz wojskowy i na tej podstawie walczyliśmy wspólnie przeciwko bolszewikom. Wiele wskazywało na to, że państwo ukraińskie będzie istnieć, ale w wyniku różnych uwarunkowań ono ostatecznie nie przetrwało.

Dzisiaj także przetrwanie niezależnej Ukrainy jest szczególnie ważne w kontekście nie tylko Ukrainy, ale i samego bezpieczeństwa Polski. Mógłbym powtórzyć za jednym z moich bohaterów, Włodzimierzem Bączkowskim, który, jak wiadomo, napisał tekst zaczynający się słowami: „Nie jesteśmy ukrajinofilami”. Pisał tam, że mówimy tak nie dlatego, że „wzruszamy się zapachem stepu, nie dlatego, że płacemy nad przestrzenią ukraińską, że płacemy, patrząc na Dniepr” itd. „Nie jesteśmy ukrajinofilami, bo kiedy myślimy o Ukrainie, myślimy o Polsce. Ukraina jest potrzebna Polsce” (cytuję z pamięci). Po 90 latach mam nadzieję, że Ukraina przetrwa, najlepiej Ukraina demokratyczna. W tym sensie nie należy tak zupełnie lekceważyć, nie tylko tzw. banderyzmu, ale także tendencji oparcia mitu założycielskiego demokratycznego państwa ukraińskiego na UPA i Banderze, wyznającym integralny nacjonalizm. Na czym w zamian mogliby się oprzeć? Na przykład właśnie na Petlurze i państwie Ukraińskiej Republiki Ludowej! Ale najważniejsze mogłyby być dwie inne przesłanki dla konstrukcji takiego mitu założycielskiego, mianowicie krew tych ponad stu ludzi, którzy polegli na Majdanie. Nie jestem w stanie zrozumieć, dlaczego z tego nie zrobiono bohaterskiego mitu założycielskiego. Ponadto jeszcze krew tych ludzi, którzy teraz ciągle giną w Donbasie, broniąc Ukrainy. Dlaczego z tych czterech wymienionych mitów założycielskich wzięto ten, który będzie dla Ukrainy najbardziej szkodliwy, bo utrudni jej kiedyś proste włączenie się w demokratyczny świat Zachodu? U nas się już na to nie przymyka oczu. Ale na Zachodzie przymykają obecnie oczy na ukraińskie podejście do tradycji nacjonalistycznych lub ich wykorzystywanie, a to ze względu na wojnę w Donbasie. Ale z chwilą, kiedy to ucichnie, zaczną czytać o Banderze, o UPA, o ideach nacjonalistycznych, o sojuszu z faszyzmem albo ktoś im to napisze i zacznie się poważny problem. Po prostu. W moim przekonaniu w interesie Ukrainy lepiej byłoby z góry się przed tym zabezpieczyć.

Trzeba jeszcze podkreślić, że w kontekście międzynarodowym dla przetrwania Ukrainy kluczowe jest stanowisko Zachodu, a przede wszystkim Stanów Zjednoczonych. Jeżeli Ameryka, mówiąc kolokwialnie, sprawę ukraińską „odpuści”, to zagrożenie jest kolosalne. Obserwując politykę administracji Donalda Trumpa, można postawić tezę, że polityka Stanów Zjednoczonych jest nie tyle proukraińska, co antymoskiewska. To jest bardzo ważne, bo jeżeli jest antymoskiewska, to ona będzie także propolska. W tym miejscu przytoczyłbym jeszcze stare polskie przysłowie: „Jak Pan Bóg kogoś chce ukarać, to mu rozum odbiera”. Gdyby Władimir Putin nie poszedł aż tak ostro, to Trump by nie wszedł na tę ścieżkę. Ale Putin poszedł za ostro (i całe szczęście, bo zagrożenie byłoby jeszcze większe).

Moja troska o Ukrainę wynika także z tego, że jestem przy Ministerstwie Spraw Zagranicznych RP związany ze sprawami ukraińskimi, kieruję tam Polsko-Ukraińskim Forum Partnerstwa. Znam mnóstwo osób z elit ukraińskich, inteligenckich, w większości propolskich, ale nawet tych nacjonalistycznych. Mam tam liczne honory i tytuły, w tym najważniejszy z nich, czyli honorową profesurę Akademii Kijowsko-Mohylańskiej, która jest ukraińską uczelnią mającą ogromną renomę na Zachodzie. To, że ja, a zwłaszcza moja praca jest bardzo doceniona przez Ukraińców, jest dla mnie bardzo ważne. Umożliwia to zarówno mi, jak i Studium Europy Wschodniej prowadzenie rozmów, posiadanie kontaktów, podejmowanie współpracy i prowadzenie wielu ważnych projektów. Jak więc widać, mam również powody, aby uważać, że robiąc coś dla Ukrainy, robię jeszcze więcej dla Polski.

**Dziękuję za rozmowę.**